

Szkółka



niedzielnia

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela czwarta Adwentu, dnia 20. Grudnia 1846.*

Religia.

Żywot Bonawentury Frezera, Karmelity bosego;
podług J.

Rzadki wzór doskonałości chrześcijańskiej i zaparcia się samego siebie znajdujemy w żywocie Ojca Bonawentury Frezera. Urodził się r. 1638 w województwie krakowskiem, z ojca Aleksandra Frezera, matki Barbary Szczepanowskiej, pochodzącej z familii Św. Stanisława Biskupa. Już w pierwszej młodości odznaczał się szczerą pobożnością, a celując pomiędzy rówieśnikami w naukach, przewyższał wszystkich niewinnością i wstydlivością życia. Trafiło się, że gdy na święta przybył ze szkół do domu, jedna z dworskich panien zaczęła go wychwalać z urody, a szczególnie z pięknych brwi. Co usłyszawszy Stanisław, (bo takie mu dano imię na Chrzcie św., Bonawenturą zaś nazwano go w zakonie), wyszedł do swego pokoiku i takowe sobie postrzygał, żeby się z nich nikomu nie podobał.

Gdy mu już siedemnasty rok dochodził, zwyciężywszy niejake przeszkody ze strony rodziców, wstąpił do zakonu Karmelitów Bosych. W nowicyacie tak wy-

soko postąpił do doskonałości zakonnej, że go Przełożony za jedyny przykład i obraz cnót wszelkich drugim wystawiał.

Zostawszy kapłanem, objął ambonę, i ten urząd apostolski tak chwalebnie i szczęśliwie sprawował, iż na jego kazania gromadnie się ludzie schodzili i ubiegając się o miejsca, częstokroć ławki łamali, albowiem mówił z serca i do serca przemawiał, i każdy z jego kazania ze zbudowaniem odchodził. Dla niepospolitej biegłości w wyższych umiejętnościach, pożytecznych kościołowi Bożemu, przez wiele lat młodzi zakonnej wykładał naukę Filozofii i Teologii. Ceniąc jego zdolności i zasługi, powoływano go na różne urzędy w zakonie, na ostatek raz i drugi obrany był Prowincyałem.

Była w duszy jego wiara w tak doskonałym stopniu, że pospolicie mawiał: „ja za wiarę nie będę miał zasługi, bo nie tylko wierzę, ale widzę, co wierzę;“ i znać było w nim tę żywość wiary we wszystkich sprawach i naukach jego, że rozum jego zawsze się wpatrował w prawdę wiecznej mądrości; w nadziei ku Panu Bogu był mocny i gruntowny. Przeto, gdy kogo widział w wątpliwości i bojaźni o zbawienie, dziwować się było potrzeba, jak mądre miał wynalazki i światło

przyrodzone do ugruntowania duszy w dobrej nadziei, choćby też była w największych pokusach i rozpacz, czego wielu na sobie doświadczyło.

W miłości ku Panu Bogu był wszystek utopiony, albowiem wszystkie jego słowa, nauki, pisma, ogień miłości boskiej wyrażały i radby był wszystek świat do miłości Pana Boga zapalił; dla tego często mawiał: gotówem krew do ostatniej kropli z siebie wytoczyć, dla większego w każdym postępku w miłości Pana Boga. Z tej zaś miłości boskiej wynikała z niego wielka miłość bliźniego, którą rad oświadczał uczynkami miłosiernymi. A tak, gdy widział duszę jaką, w potrzebie duchownej będącą, wszystkie siły na jej duchowny ratunek obrócił, skutecznymi słowy ją cieszył, posty, dyscypliny, modlitwy, leżąc w najcięższych mrozach krzyżem na posadzce marmurowej, za nią ofiarował.

Kiedy go kto o co prosił, zaraz dał, chociażby sam tego potrzebował. Często mu się trafiło za urzędu prowincjalstwa, że co miał na drogę, wszystko ubogim rozdawał, a sam potem nie miał się czem utrzymywać, i kiedy go proszono, żeby też i dla siebie co zostawił, odpowiadał: „Pan Jezus do mnie rękę wyciąga przez ubogiego, a ja mu nic mam nie dać? moje to szczęście, że Pan Jezus chce wziąć odemnie; nie frasujcie się o mnie, odda mi to dobry Pan Jezus; wie On, że potrzebuję, to da.“ Jakoż się wydarzało, że jego jałmużnę zaraz mu we dwójnasob wynagradzał. Wyjeżdżał pewnego czasu na wizytę klasztorów; na wsiadaniu samém przyszedł do niego jeden pobożny, ale ubogi człowiek, prosząc go o wspomnienie. Mając Bonawentura trzydzieści złotych na drogę, dał mu wszystkie. Aż oto ledwie co od niego

odszedł, przyniesiono mu od pewnego Dobrodzieja dziesięć talarów bitych, zatem rzekł do Braci: „już mi więcej nie brońcie dawać jałmużny w ubogich mojemu Dobrodziejowi Panu Jezusowi.“

Taż miłość jego wydawała się doskonale ku bliźnim mniej mu przychylnym; bo kiedy mu kto w czem krzywdę uczynił, albo przykrość jaką wyrządził, on tego wszystkiego zapominał, i wielką miał pociechę, gdy mu się podała sposobność uczynić co dobrze takiemu; przeto pospolicie mawiano: szczęśliwy ten, co Ojcu Bonawenturze krzywdę uczyni, bo mu z tem dobrze; osobliwą miłość ku sobie od niego odbiera. Kiedy mu przyjaciele czasem radzili, żeby krzywdy swojej dochodził, ile mając władzę Przełożonego, odpowiadał: „prawda jest, żebym mógł; ale, kiedy o tem pomyślę, zaraz mi Pan i Dobrodziej mój, ukrzyżowany Jezus, stawa w oczach ze swoim przykładem, jako On postępował z nieprzyjaciółmi swymi, i zwiąże mi rozum, że nie mogę nic złego moim nieprzyjaciółom czynić, tylko to, do czego mi Pan przykład z siebie pokazał: modlić się za nich i dobre im za złe oddawać.“

Cierpliwość jego była prawie niezwykła, lubo go Pan różnemi utrapieniami przez wiele lat doświadczał, tak na umyśle, jako i na ciele, bo i złe języki ponosił i ciężkie przez kilkanaście lat choroby, w których jednak żadnych wygod nie przypuszczał. Nuncyuszowi papieżkiemu, gdy go dla zachowania zdrowia dyspensował, aby jadł mięsne potrawy, pokornie podziękował za tę łaskę, ale jej przyjąć nie chciał. Gdy widział wielkie Braci staranie około zdrowia swego, mawiał do nich żarliwie: „Pan Jezus zesłał na mnie chorobę, żebym Mu w niej mi-

łość moję oświadczył, a wy tój łasce Pana Boga przeszkadzacie.“

Zdarzyło się raz, że pracując w spowiedzi u Sióstr swoich zakonnych, tak osłabł na siłach, iż musiał odejść do klasztoru swego, i przyszedłszy do celi, zdjął płaszcz i położył się na łóżku. Wtém jeden z młodych zakonników przyszedł do niego i począł ostro następować na niego, mówiąc: oto drudzy chwalą Pana Boga w chórze, a waszmość się wylegasz, dufając w swoje prałactwo (godność), i kazał mu zaraz iść do chóru. Na co ojciec Bonawentura nic nie mówiąc, natychmiast poszedł, nikomu nie wspominając o swojej słabości, ani o niesłuszném strofowaniu owego Zakonnika. Ale potem sam ów zakonnik żałując swojej nierozważności, wyznał winę swoją; za co gdy go Przełożony chciał karać, bronił go Bonawentura i wymawiał, mówiąc z wielką pokorą: „Panie Boże mu zapłać! słusznie to on uczynił, że mi prawdę powiedział: to mi prawdziwy przyjaciel; znać, że to nie prawdziwa moja choroba, kiedyś mógł wstać i śpiewać z drugimi w chórze.

Wydoskonalony we wszystkich cnotach, zapracowany w kościele św. i swoim zakonie ten sługa boski, przyjechawszy do Warszawy, śmiertelnie i nader boleśnie zachorzał. Jednak w tój chorobie tak był cierpliwy, że lubo gwałtowna gorączka ciężkie w nim sprawowała pragnienie, nie pił więcej, tylko ile kazano. Gdy mu kauteryą (*) wypalano, i dokuczające pryszczce stawiano, żadnego znaku boleści po sobie nie pokazał, którego cierpliwości dziwując się cyrulik, rzekł te słowa: jeszcze mi się nie trafiło mieć tak cierpliwego pacyenta.

(*) Dziura w skórze wypalona, dla odciągania wilgoci; fontanella.

A gdy lekarz powiedział, że już nie można ratować żadnym przyrodzonym sposobem, a to słudze boskiemu oznajmiono, zawołał z radością: „Panie Boże mu zapłać; to prawdziwy przyjaciel; zaczęć proszę o Sakramenta święte.“ Przyjął je z dziwném nabożeństwem, a gdy przed nim czytano różne akty nabożne, mile je słuchał; nadto prosił, żeby mu niektóre pieśni śpiewano, osobiwie ową: „A kiedy, kiedy, z tój ciała biedy, wyzwolisz duszę moję.“ Nakoniec spojrzął na obraz Najświętszej Panny Maryi, do której szczególnie miał nabożeństwo, także na swoich Ojców raz i drugi, i skłoniwszy głowę po dwa razy, niby dziękując, trzymając gromnicę w jednej ręce, w drugiej krucyfiks, całował nogi Pana Jezusa, a wymówiwszy te słowa: „w ręce Twoje Panie polecam duszę moję,“ tak łagodnie skonał, że nie znać było, tylko jakoby zasnął. Stało się to r. p. 1687. O zaiste! błogosławieni umarli, którzy w Panu umierają, bo ich uczynki idą za nimi!

Gospodarstwo rolnicze.

O uprawie ziemi.

(Dokończenie.)

XIV. O uprawie gruntu mocnego pod jarzynę.

W gruncie mocnym zwykle się siewa jęczmień; ten zaś wymaga roli bardzo spulchnionój; ale z drugiej strony zawierać ona ma dosyć wilgoci i w dobrze rozłożony humus, czyli w pokarm roślinny, być zamożną.

Zwyczajnie jarzyna siewa się po ozimie. Uprawa zatem roli pod pierwszą, stosuje się do uprawy drugiej; jeżeli bowiem rola pod ozimę dobrze doprawiona była, wtedy dosyć jest podorać ją do zupełnej głębokości w jesieni; na

wiosnę, gdy chwast nieco się puści, należy-
cie ubronować; później jak najdokładniej
zradlić, ubronować i jęczmieniem obsiać.

Jeżeli skutkiem złej uprawy pod ozi-
minę, lub uchybienia onęj, rola tak da-
lece zdziczała, czyli na powierzchni onęj
tak mocna darń się utworzyła, iż jej
podwójną orką doprawićby nie można, wte-
dy należy ją w jesieni, jak można najwcze-
śniej, płytko podorać, — przed zimą do zu-
pełnej głębokości odwrócić; na wiosnę,
postępować jak się poprzednio wskazało.

Odwracanie zaś roli pod jęczmień na
wiosnę, jest ze wszech miar szkodliwe,
a najprzód, ponieważ przez częste prze-
wracanie, ziemia zbyt często się wysusza;
nadto traci wiele pokarmu roślinnego, któ-
ry w tej porze roku szybko się tworzy
i ulatnia; ponieważ rola zbyt często się
przez to spulchnia, w skutek czego pro-
mienie słoneczne mocno ją wysusza;
nakoniec, ponieważ siew się opóźnia.
W ogólności, można niemal z pewnością
przyjąć, iż odwracanie roli pod jęczmień
na wiosnę, więcej jest szkodliwem, ani-
żeli użytecznem; a więc ziemia koniecz-
nie być musi odwróconą, wtedy jak można
najwcześniej na wiosnę odwrócić ją należy.

Co się wyżej powiedziało o radzeniu
i bronowaniu ugoru, stosuje się i do u-
prawy ziemi pod jęczmień, z tą tylko
różnicą, iż wszelkie czynności spiesznij
tu po sobie następować powinny, by zie-
mi z wilgoci i pokarmu roślinnego zby-
tecznie nie ogołacać.

**Czy kartofle ze siemienia chodo-
wane nie podpadają zgniliznie?**

Gdy w roku 1845 zaczęły pisma pu-
bliczne donosić o gniciu kartofli w grun-

cie nawet zostających, różni różne tego
nieszczęścia podawali przyczyny, a za-
razem i środki do zapobieżenia gniciu
już wybranych. Jeden zdawał się być
nieochybnym. Przez ciągłe rodzenie, kar-
tofle, mówiono, wyrodziły się, niejakoś
zeskładały, trzeba je tedy odrodzić, innego
gatunku a świeżego nabyć, to gniciu nie
będą. A na to nie ma innego sposobu,
jak zacząć kartofle chodować ze siemie-
nia. Rzecz ta przemawiała do przekon-
ania. Bogu dzięki! myślałem sobie,
dowiedziawszy się o tém; to, choć mi
kartofle stare pognują, mam już parę wier-
teli ze siemienia chodowanych, wystarczają
na rozmnożenie. W roku bieżącym za-
sadziłem tedy na lekkim, górnym grun-
cie sześć miechów kartofli, które własną
ręką ze siemienia uchodowałem sobie. By-
ły rozmaitego koloru i kształtu: białe,
czerwone, żółtawe i modre, okrągłe, pł-
skie, podługowate. Sadzono całe, nie-
przerzynane. Gdy przyszło do wybiera-
nia, przy końcu Października, najwięcej
zgniłych znalazło się pomiędzy chodowa-
nemi ze siemienia. To nie dobrze, po-
myślałem sobie; tymczasem zdrowe tylko
kazałem wybierać, a nagnięte pozostawić na
roli; i dosyć obfity był plon, bo sto dwa-
dzieścia i trzy wiertele, nie rachując od-
rzuconych i kilka wierteli skradzionych
przed wybieraniem. Usypano je w jeden
kopiec, okryto słomą, obrzucono ziemią,
zostawiwszy u góry otwór pół ćwierci sze-
roki, aby para nim odchodzić mogła. Na
początku Grudnia, kazałem patrzeć do
nich. Pokazało się wiele zgniłych, prze-
brano je, i odrzucono do piętnastu wierteli.

A więc i chodowanie ze siemienia nie
zapobiega gniciu?

Brodnica.

X. T. B.